

Antoni Poniński

O Kościele w "Gazecie Wyborczej" w latach 1989-1993

Studia Włocławskie 7, 267-276

2004

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KS. ANTONI PONIŃSKI

O KOŚCIELE W „GAZECIE WYBORCZEJ” W LATACH 1989-1993

Refleksje nad tematyką kościelną w „Gazecie Wyborczej” wyrastają z lektury tego czasopisma z lat 1989 (półrocze, od pierwszego numeru), 1990, drugiego kwartału 1991 (przed i po pielgrzymce papieskiej) oraz z trzech kwartałów roku 1993. Rocznika 1992 nie uwzględniłem, gdyż odniosłem wrażenie, że nie ujawniły się w nim jakieś odrębne tendencje. Czytałem ten dziennik dwukrotnie – raz w ramach bieżącej lektury, z dnia na dzień; drugi raz, po jakimś czasie, egzemplarz po egzemplarzu.

Inspiracją do powtórnej lektury była propozycja, jeszcze w 1993 roku, aby na użytek pewnego spotkania dyskusyjnego przedstawić obraz Kościoła w „Gazecie Wyborczej”. Zasadnicze stwierdzenia tego opracowania trochę się przeleżały (przynajmniej trzykrotnie już było blisko do jego opublikowania, ale w ostatniej chwili okazywało się, że na przykład zabrakło miejsca...), jednak czas nie skorygował ich prawdziwości. Wydaje się, że jest nie tylko świadectwem przeszłości, zresztą nie tak dawnej, ale może pozwoli lepiej zrozumieć także i dzisiejszy obraz Kościoła w mediach i podjąć refleksję nad ich wiarygodnością.

I jeszcze jedno wyjaśnienie. Zdaję sobie sprawę z różnego rodzaju i różnej wagi materiałów zamieszczanych w „Gazecie”. Odróżniam informację o fakcie, choćby najbardziej negatywnym, od poglądu, oceny tego faktu. Wiem też jednak, że swoją wymowę posiada zamieszczenie lub przemilczenie przez media jakiegoś faktu. Odróżniam rangę tekstu sygnowanego przez redaktora naczelnego od listów czytelników czy – w omawianym okresie bardzo licznych, chociaż zwykle anonimowych – głosów z rubryki „TOP” („Telefoniczna opinia publiczna”). Jednak przy odczytywaniu profilu gazety bardziej wymowne jest to, co się w niej publikuje, aniżeli to, jaki podpis figuruje pod tekstem. Jeżeli redakcja nie dystansuje się wyraźnie od zamieszczanych w swojej gazecie tekstów, można spokojnie uważać, że są one zgodne z linią pisma i jednocześnie ją charakteryzują.

W analizowanych rocznikach „Gazety” bodaj tylko dwa razy, i to w początkowym okresie, spotkałem zaznaczone stanowisko redakcji wobec za-

mieszczonego tekstu. Takiego zastrzeżenia nie spotkałem nawet wobec wspomnianego „TOP-u”, która to rubryka zawierała opinie na tematy kościelne i religijne wyrażane niejednokrotnie słowami wulgarnymi i powszechnie uznawanymi za obraźliwe. Kiedy jeszcze weźmie się pod uwagę, że równolegle „Gazeta” odmawiała publikowania niektórych tekstów, np. listu dr Wandy Póltawskiej – lekarza, wybitnej specjalistki z zakresu katolickiej etyki medycznej i rodzinnej – całkowicie uprawniony jest pogląd, że wszystkie teksty, które redakcja zamieszcza, stanowią przesłanki do odczytania profilu „Gazety” i jej stosunku do Kościoła.

* * *

Obrazy Kościoła odtworzone z roczników „Gazety Wyborczej” z roku 1989 i z roku 1993 to dwa różne światy.

Dystans, jaki w ciągu tylko tych czterech lat przebyła „Gazeta” – przy niezmiennym składzie redakcyjnej „góry” – ilustruje zestawienie kilku wyrazistych w swej wymowie tekstów. W maju 1989 r. informowano, że w święto Bożego Ciała abp Bronisław Dąbrowski, przy udziale pastora kalwińskiego, poświęcił lokal redakcji „Gazety Wyborczej”. W marcu 1991 roku Teresa Bogucka już oburzała się, że „Kościół wchodzi do instytucji państwowych, jak wojsko, policja, urzędy. Wchodzi z obrzędem, który zastępuje komunistyczne formy uroczystych otwarć, inauguracyj, akademii ku czci, ale i z publiczną modlitwą, która zaczyna ludzi dzielić”. Mimo nawet niezbyt mądrych wypowiedzi wcześniej dopuszczonych na łamy, przed pielgrzymką papieską w 1991 roku na pierwszej stronie „Gazety” dano ogromny tytuł „Czekamy”; w 1993 roku wstrząsającą prośbę Ojca Świętego do Bośniaczek, aby pozwoliły urodzić się dzieciom poczętym w następstwie dokonanego na nich gwałtu, „Gazeta” – piórem jednej z publicystek – nazwała „niezbyt rozsądnym apelem starszego pana”. Jeszcze w tekście ze stycznia 1990 roku pisano o charytatywnej działalności Kościoła: „Ludzie ufają Kościołowi. Wierzą, że pomoże, bo rzeczywiście pomaga”. Ale już w czerwcu roku następnego, kilka dni po pielgrzymce papieskiej, autor zaproszony przez „Gazetę” pisał: „Papież przyjechał i nie pochylił się nad ludzką biedą, rozczarowaniem, rozpaczą. Nakrzyczał [...] Przedstawił Kościół groźny, Kościół miecza, gniewu i piekła, a nie miłości i miłosierdzia [...]. Jeśli i On nas nie rozumie, to zostaje tylko Tymiński i wódka”.

I może zestawienie najbardziej reprezentatywnych wypowiedzi: w tekście z 11 listopada 1989 roku redaktor naczelny „Gazety”, Adam Michnik, pytał: jakiej Polski pragniemy? Opartej na chrześcijańskich wartościach i demokratycznej, czy też zaściankowej, ciemnej? W marcu 1990 roku ten sam pouczał francuskiego publicystę A. Beçansona: „Twierdzisz również, że Kościół w Polsce wpływa hamująco na proces reform demokratycznych. –

Dawno nie czytałem już tekstu nie tylko równie niemądrego, ale równie otwarcie demaskującego pływaczność i brak kompetencji”. I ten sam Adam Michnik w listopadzie 1993 roku straszył: „Pojawiło się widmo integralizmu katolickiego w polskim życiu publicznym”.

Kiedy zatem „Gazeta” pisała prawdę? Przecież przez te cztery lata nauka Kościoła nie zmieniła się ani o jotę; papież ten sam i taki sam; poświęcenia urzędów, redakcji, zakładów odbywały się na prośbę zainteresowanych, a nie z przymusu – a Kościół jest już wsteczny, groźny i wymagający napiętnowania. Ale to nie rzeczywistość się zmieniła; zmieniły się kryteria gazety, sposoby opisywania kościelnej rzeczywistości, zmienił się język do tego używany. A najbardziej zmieniło się nastawienie do Kościoła katolickiego.

Czy tę „ewolucję” można było przewidzieć lub czy można było dostrzec jej zapowiedzi na łamach samej „Gazety”? W zasadzie – nie. Przynajmniej gdzieś do początków 1990 roku. Do tego czasu pisano w niej na tematy kościelne, rzecz by można, normalnie. Nie zaciemniając istoty problemu. Z odwołaniem się do faktów, a bez generalizowania. Wyraziście, ale bez agresji. Bez wstępnego założenia, że w Kościele katolickim w Polsce – poza drobnymi wyjątkami reprezentującymi tzw. „Kościół otwarty” – w zasadzie wszystko jest nie tak, jak trzeba. Bez tezy, że Kościół – tylko katolicki i tylko w Polsce – jest gorszy albo z pewnością doprowadzi do gorszych skutków niż komuna. Jeszcze wtedy nie odważono się zamieścić takiego tekstu, jak ten: „Niedawno baliśmy się gestapo, NKWD, SB, a teraz Kościoła. Nie pozwólcie ujarzmić się klerowi, który coraz częściej zapuszcza macki jak zaraza” (TOP, 07.05.1991). Jeszcze pod koniec 1989 r. pisano w „Gazecie”: „Ustawa z maja [1989 r. o stosunku do Kościoła Katolickiego] przewiduje, że w ciągu dwóch lat Kościół powinien odzyskać budynki, które mu po wojnie odebrano”. Zwyczajne stwierdzenie stanu rzeczy – Kościół odzyskuje zagrabioną własność. Kiedy się to porówna z niewiele późniejszymi tekstami o postawie roszczeniowej, o pazerności Kościoła, o zabieraniu (!) przezeń budynków służących społeczeństwu, to dopiero wtedy widać, jaką drogę i ewolucję przeszło w „Gazecie” pojęcie prawa i sprawiedliwości.

Pewnie nikomu z czytelników pierwszych 150-200 numerów „Gazety” nie przyszłoby do głowy, że niezadługo, zaledwie po kilku miesiącach współtworzenia nowej sytuacji społeczno-politycznej, Kościół zacznie być bardziej – i to od „swoich” – na cenzurowanym, aniżeli „przewodnia siła” 45-lecia...

Chociaż, gdyby od początku wczytał się uważniej i bardziej krytycznie na przykład w tekst Adama Michnika *Widmo krąży po Europie*, już z drugiego (!) numeru „Gazety”, który napisał, że „ludzie «Solidarności» mogli przemawiać tylko z podziemia, z więzienia, z ławy oskarżonych”, może

postawiłby sobie pytanie, czy zwrot „w świątyniach katolickich” wypadł z powodu szczupłości tekstu, czy też był to pierwszy sygnał, że zaczął się czas wyciszania prawdy o Kościele?

Czy dałoby się uchwycić w ewolucji poglądów „Gazety” na tematy kościelne jakieś punkty zwrotne? Niewątpliwie były nimi zmiany osób piszących o Kościele. Inaczej pisał, nawet o najtrudniejszych sprawach, Krzysztof Śliwiński, a inaczej Jan Turnau, o Zbigniewie Mikołajko nie wspominając. Natomiast najwyraźniej każda eskalacja antykościelności „Gazety” wiązała się z próbami określenia miejsca i sposobu udziału katolików w życiu społecznym i politycznym kraju. Za każdym razem, wobec takich prób, „Gazeta” stosowała pewnego rodzaju działania prewencyjne, strasząc niemal nieobliczalnymi skutkami. Tak było z powrotem religii do szkół. Tak było z ustawą o ochronie życia poczętego, z zapisem o wartościach chrześcijańskich, z konkordatem, ba, nawet z encykliką *Veritatis splendor*. Wspólnym przesłaniem tych prewencyjnych tekstów była przestroga – zobaczcie, co grozi wszystkim, jeżeli Kościół dopnie swego. I nic nie pomagały wobec tego tłumaczenia, że większość z kwestii, na przykład – nauczanie religii w szkole, prawo wobec aborcji, aksjologia w ustawodawstwie – to problemy, z którymi każde państwo, prędzej czy później, musi się zmierzyć i to niezależnie od tego, jak liczny i znaczący jest w nim Kościół katolicki.

* * *

Symbolicznym niemal tekstem dla antykościelnego nurtu „Gazety Wyborczej” wydaje się list zatytułowany *Głos z tamtego świata*, opublikowany 6 marca 1990 r., czyli niedługo po uformowaniu się Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a podpisany „Eligiusz Niewiadomski – artysta malarz”. Był to, jak wiadomo, zabójca prezydenta Gabriela Narutowicza. Otóż ten przywołany z zaświatów ekspert przewidywał w swoim-nie swoim liście, że w najbliższych wyborach zwycięży Narodowa Demokracja, a w efekcie Kościół weźmie kraj twardą ręką, tak jak to Chomeini uczynił w Iranie. Trudno ten kuriozalny w treści, a tym bardziej w zestawieniu z rzekomym jego autorem list uznać za dzieło przypadku czy wyraz uszanowania „Gazety” dla każdego, kto cokolwiek zechce napisać. Taki sam list podpisany „Jan Kowalski” nie miałby prawie żadnego znaczenia. „Wskrzyszony”, przecież nie bez wiedzy, a kto wie czy nawet nie mocami samej „Gazety”, na tę okazję Niewiadomski bez osłonek sugeruje, że partia odwołująca się do chrześcijańskich narodowych przesłanek potrafi doprowadzić tylko do niechlubnej powtórki z historii. A skoro taka partia jest groźna, to o ile groźniejszy jest jej – rzekomy – mocodawca, czyli Kościół...

I od tego dnia począwszy, w „Gazecie” rozwiązał się worek z tekstami nie tylko o tego typu zagrożeniach ze strony Kościoła, ale i o bogactwie, wręcz

lüksusach księży (nie księdza X, Y, ale księży, czyli wszystkich kapłanów, lecz tylko katolickich), o wykorzystywaniu symboliki katolickiej i terenów kościelnych w działaniach politycznych, o wspieraniu przez duchowieństwo (oczywiście tylko rzymskokatolickie) opcji narodowo-chrześcijańskiej. Za to, już ani słowa, że dawniejsza opozycja (również imiennie występująca obecnie w „Gazecie”) aż do samych wyborów z 1989 roku bez żadnego obrzydzenia korzystała z faktycznego i rzeczywistego wsparcia Kościoła; ani słowa, że ten niemal czarnosecinny Kościół gościł w swoich świątyniach i innych obiektach ludzi, którzy przez całe życie pozostawali osobistymi wrogami Pana Boga, Kościoła i wszystkiego, co miało związek z religią. Nie chciano już pamiętać, że w 1989 roku ta sama „Gazeta” (nr 7) informowała, w którym to kościele spotka się z wyborcami kandydat, a późniejszy poseł OKP; ta sama „Gazeta” (nr 15/1989), na tle konfliktu w Łodzi, pisała: „Cóż, Kościół ma prawo wskazywać ludzi, którym ufa”.

* * *

Z lektury roczników „Gazety Wyborczej” z początku lat dziewięćdziesiątych wyłania się kilka bloków tematycznych dotyczących spraw kościelnych szczególnie intensywnie podejmowanych na jej łamach.

Powrót religii do szkół

Po okresie, kiedy „Gazeta” poprzestawała na informowaniu, jak toczą się negocjacje na ten temat, łącznie z podaniem do wiadomości, iż wiceminister Anna Radziwiłł własną mocą, nie czekając na zmianę ustawy oświatowej, skasowała przedmiot „Wiedza o społeczeństwie” (co „Gazeta” przyjęła bez komentarzy), rozpoczął się okres straszenia, co może stać się po wprowadzeniu – również mocą rozporządzenia ministerialnego – nauczania religii w szkole. Prawdy mieszały się z nieprawdami, przewidywaniami, fobiami. Że doświadczenia z okresu międzywojennego były podobno fatalne. Że religia będzie obowiązkowa (nie pomogło nawet dementi ministra Ambroziaka). Że z pewnością pojawi się nietolerancja. Że religia w szkole doprowadzi ostatecznie do państwa wyznaniowego. Że szkoła powinna być neutralna światopoglądowo (czyli to samo co w komunizmie tylko inaczej nazwane). A wszystkie zastrzeżenia i hipotetyczne (że dopiero będzie źle) oskarżenia – tylko pod adresem katolików. Jakby z założenia, że niewierzący bądź wierzący innych wyznań *ex definitione* są zupełnie niezdolni do (nawet hipotetycznej) nietolerancji.

W sprawie powrotu nauczania religii do szkół sympatie „Gazety” były tylko po jednej stronie. Tak dalece, że przeszła do porządku dziennego nad wykluczającymi się wypowiedziami na ten temat ówczesnego rzecznika praw obywatelskich, Tadeusza Zielińskiego. Tenże najpierw (kwiecień 1993) wy-

znał, że „boi się państwa wyznaniowego”, a w kilka tygodni później (4 czerwca) w tej samej „Gazecie” oświadczył jakby nigdy nic: „Myślę, że nie ma obaw, iż staniemy się państwem wyznaniowym [...] Kościół nie pretenduje do roli, którą mu niektórzy przypisują”.

Lęki, szerzone także przez „Gazetę”, nie sprawdziły się, ale co przez nie zostało zniszczone, ile pogardy dla nauczania religii zostało wszczepione, jakie w związku z tym powstało słownictwo pod adresem katechetów... Tyle, że to już redaktorów nie interesowało...

Ochrona prawna dziecka poczętego

Konieczność rewizji istniejących do tej pory uregulowań prawnych była od dawna oczywista. Sprawa i tak musiała stanąć na forum parlamentu, choćby hierarchia Kościoła palcem nie kiwnęła. Ale tylko na Kościół posypały się gromy: że ma w tym interes, że dzieli ludzi, że parlamentarzyści z lęku przed potępieniem boją się ujawnić swojego zdania, aż po kpiny, że głos Boży łatwiej dochodzi do czterystu sześćdziesięciu posłów aniżeli do 20 milionów Polaków (to *à propos* sprzeciwu Episkopatu wobec projektu referendum). I cały czas wmawianie, że prawna ochrona dziecka poczętego to tylko sprawa religii, a nie problem, przed którym staje każda społeczność państwowa.

Konkordat

Prace nad konkordatem toczyły się przez długi czas przy umiarkowanym zainteresowaniu „Gazety” i nie budziły żadnych jej obaw. Podano terminarz prac negocjatorów, nie wysuwając żadnych roszczeń, aby negocjacje toczyły się przy otwartej kurtynie. Nawet przeciwnie, redaktor „Gazety”, Grzegorz Polak, pisząc na ten temat, przyznał, że tajność negocjacji jest normalnym zwyczajem dyplomatycznym. Nikt nie kwestionował, że treść konkordatu wypracowują eksperci, a nie czytelnicy. Nie obawiała się też „Gazeta”, ile Polski zostanie po konkordacie.

Ledwie tylko konkordat powstał, zaczęło się. Pan Mikołejko, dyżurny religioznawca „Gazety”, nie tylko biadał nad niesuwerennością Polski i bolał nad podkopywaniem polskiej racji stanu przez wysyłanie księży do pracy duszpasterskiej na tereny byłego ZSRR, ale wręcz dziwił się, jak można było w konkordacie zrównać w prawach studentów uczelni kościelnych z ich rówieśnikami z uczelni państwowych. Natomiast pani Bortnowska dała wyraz swojemu bólowi, że nie uczestniczyła w procesie negocjacji. Jedyłą, choć słabą pociechą było to, że tym razem „Gazeta” po równo obdzieliła swoim niezadowolaniem tak stronę kościelną, jak i rządową.

Katolicyzm – gorsza religia?

O niemal genetycznym antysemityzmie katolików było w „Gazecie” niemało. Również, gdy przychodziło „Gazecie” oceniać analogiczne zachowania wymierzone w wyznawców katolicyzmu i judaizmu, tylko jednych brano na szpaltach w obronę.

Ilećć ukazywały się informacje o zbezczeszczeniu cmentarzy żydowskich, uwypuklona była w nich ocena, że nie jest to tylko wybryk chuligański, ale – słusznie tak kwalifikując – profanacja miejsca świętego. Zrozumiałe i uzasadnione było potępienie takich czynów.

Ukazywały się też informacje o niszczeniu cmentarzy katolickich. Pewnego dnia (5 września 1990 r.) tak się złożyło, że na tej samej stronie zostały zamieszczone dwie informacje. O zniszczeniu 187 pomników na grobach katolickich przytoczono dwuzdaniową notatkę PAP-owską, bez komentarza. O tym, że na murze na dawnym Umschlagplatzu napisano „Żydzi do gazu”, prócz informacji o tym incydencie zamieszczono zdjęcie, przytoczono wyrazy ubolewania ze strony biskupa Miziołka, podano wiadomość, iż ówczesny minister Aleksander Hall złożył w tym miejscu kwiaty, dopełniono komentarzem Jana Turnaua, w którym napisał m. in., że dzieją się takie rzeczy, a przecież „uważamy się za naród chrześcijański”. Nie chodzi tylko o dysproporcję co ilości uwagi poświęconą obydwu wydarzeniom, ale i bez dowodu przyjętą supozycję, że zrobili to chrześcijanie.

Natomiast ani w tym, ani w żadnym innym przypadku podania informacji o zniszczeniu cmentarzy katolickich nie znalazłem w „Gazecie” stwierdzenia, że tego rodzaju wyczyny są także profanacją świętych miejsc katolicyzmu. Gorsza religia?

„Naprawianie” Kościoła

Zaczęło się w zupełnie przyzwoitym stylu. Dodatek „Gazeta Świąteczna” był z początku przykładem – po peerelowskim okresie nieobecności rzeczywistych spraw religii w mediach – jak można pisać normalnie o religii, o Kościołach, także o wspólnotach niechrześcijańskich. Nie zamykano się do informacji. Podejmowano, niełatwe w przedstawianiu i w odbiorze, sprawy takie jak na przykład w tekście Ewy Berberyusz *Taca*. Nie unikano spraw trudnych, także krytycznego podejścia do postaci działań niektórych księży. Nie na klęczkach, ale rzetelnie. To było normalne. Tak długo, dopóki „Gazeta” nie przeszła do takiego pisania o Kościele, z którego na koniec wynikał zawsze ten sam wniosek: Kościół jest do niczego. Właściwie to nawet cały, poza niektórymi środowiskami otwartymi. A gdy chodzi o księży,

no to poza znajomymi Królika, mizeria, chciwość i parę jeszcze innych brzydkich cech. Puszczala „Gazeta” takie teksty: w Polsce mamy 25 tysięcy zrutynizowanych w liturgii księży (ta liczba to prawie cały ówczesny stan duchowieństwa polskiego). Albo – kler organizując domy dla samotnych matek w ten sposób zapewnia sobie nowe kadry (7 V 1991). Albo – fakt, że litewski kardynał jeździ wołgą, redaktor Polak skomentował: „do wołgi nie wsiadłby żaden szanujący się polski prałat” (13 VI 1991). Bardzo znamy to sposób pisania, sięgający korzeniami do minionej epoki, których żywotności nie pozbawiła „gruba kreska”.

Pisanie o duchownych nie wyczerpywało „gazetowego” zainteresowania Kościołem katolickim. Do pewnego czasu, podejmując tematy eklezjalne, „Wyborcza” zatrzymywała się na progu spraw doktrynalnych Kościoła, rozumiejąc chyba, że kanonu wiary nie ustala się za pomocą głosowania za tym, co komu odpowiada. Od jakiegoś momentu poczuła w sobie misję „naprawiania” Kościoła, gdyż jego doktryna nie nadąża za oczekiwaniami wiernych. (Skądinąd, ciekawe, że „Gazeta” dopiero po 1990 roku, niemal z dnia na dzień zauważyła, że Kościół tak gwałtownie zaczął odstawać od rzeczywistości). Przykłady zapóźnienia – stanowisko wobec antykoncepcji, rozwodów, aborcji, celibatu. Jako sposób uzdrowienia proponowano Kościołowi zastosowanie się do recept teologów, którzy byli (i nadal są) z nim w stanie konfliktu. Pouczano Drewermannem („celibat to chroniony przez ortodoksję warunek systemu władzy w Kościele”), tak jakby Kościół nie miał świadomości, kto jest jego Nauczycielem i Mistrzem.

Innym *novum* stosowanym przez „Gazetę” w sprawach doktrynalnych Kościoła było odwoływanie się do tego rodzaju autorów (autorytetów?), którzy po pierwszych słowach autodeklaracji, że oczywiście są wierzącymi, w kolejnych wyszczególniali, w czym raczą się nie zgadzać z nauką katolicką. Niektórzy bez żenady określali siebie jako katolików „wybiórczych”. Publicysta prowadzący w „Gazecie” dział religijny nie poprzestał na zdystansowaniu się od katolickiej nauki na temat antykoncepcji: „nie rozumiem jej” (co, jak na absolwenta studiów teologicznych brzmiało co najmniej dziwnie), ale i zadeklarował, że w stosunku do doktryny katolickiej stara się być „samodzielny” w myśleniu... Z której to deklaracji, według najprostszych reguł logiki wynika, że katolicy, którzy przyjmują naukę katolicką bez zastrzeżeń, a za to z zaufaniem do Kościoła (co nie oznacza łatwości jej praktykowania), samodzielni w myśleniu nie są... Jak odpowiedziałby religijny prezen-ter „Wyborczej” na pytanie – czy Ojciec Święty, który naukę Kościoła prezentuje i to z autorytetem nie tylko osobistym, też powinien być uważany za „niesamodzielnego” w myśleniu – nie wiadomo...

Szybkość, z jaką „Gazeta” reagowała na niektóre wydarzenia kościelne, była, z punktu widzenia profesji dziennikarskiej, tytułem do chwały. Z jednym, ale za to z tego samego punktu widzenia, poważnym zastrzeżeniem – gdybyż ta ochota do podejmowania najświeższych tematów kościelnych służyła informacji, a nie „ustawianiu” Kościoła. Stać było „Gazetę” na zamieszczenie komentarzy do konkordatu równoległe z informacją o jego podpisaniu. Stać było w sześć dni po ogłoszeniu encykliki *Veritatis splendor* na jej dwustronicowe omówienie. Ale tak się jakoś złożyło, że w obydwu przypadkach najpierw były to komentarze „ekspertów”, delikatnie nazywając, krytycznych wobec omawianych dokumentów, a dopiero później – o ile w ogóle – znalazło się na łamach miejsce dla przedstawicieli strony kościelnej. Którym nie pozostawało już nic innego, jak tylko prostować to, co pierwsi napisali. Czyli zgodnie z zasadą – udowodnij, żeś nie wielbłąd. Przypadek? Jeżeli – to chyba nieprzypadkowy.

I jeszcze jedno. Można i powinno się, mając świadomość nieprzekraczalnych różnic, pisząc o drugiej stronie nawet najbardziej krytycznie, zachować szacunek i takt wobec ważnych dla niej spraw i nie czynić z nich przedmiotu, choćby tylko słownych, igraszek. Można też, choć nie powinno się, bawić się słowami, określeniami, skojarzeniami dotyczącymi ważnych dla innych spraw, nie zważając na to, że maksimum wolności nie powinno nawet minimalnie ranić. Jakiego wyboru dokonała „Wyborcza”, ilustrując niektóre z tytułów jej publikacji. *Namaszczenie olejem* (synonim sakramentu chorych) – to o kolarzach, którzy przewrócili się na śliskiej od mazutu szosie; *SB-owiednicy* – to o podsłuchach; *U drzwi Twoich* (tytuł pieśni kościelnej) – o demonstracji członków kółek rolniczych; *Veni Creator* („Przybądź Stworzycielu” – tytuł hymnu do Ducha Świętego) – przetłumaczono na „chodź kreaturo”; *Virgo intacta* (jeden z tytułów teologicznych Matki Bożej) w tłumaczeniu „Gazety” – „nietaktowna dziewczyna”. Co za subtelne poczucie dowcipu...

* * *

Nielatwo o racjonalne wyjaśnienie postawy „Gazety Wyborczej” wobec Kościoła katolickiego. Jakaś część jej racji wydaje się być wspólna dla większości tego rodzaju mediów – brak znajomości Kościoła i obcość czy programowa „neutralność” wobec zagadnień religijnych sprawia, że ukazywane są tak jak wszystkie inne organizacje, instytucje. Przez pryzmat skuteczności działania, aprobaty społecznej, efektywności decyzji itp., bez odniesienia do specyfiki wiary. Uwidacznia się to zwłaszcza we wskazówkach, co Kościół powinien zmienić, aby cieszyć się aprobatą i nie odstawać od „wymogów” nowoczesności. Tak piszący nie potrafią czy raczej nie chcą pojąć, że prawdy wiary nie są wynikiem subtelnych analiz ludzkich umysłów, lecz co naj-

wyżej chociaż są prawdami innego porządku, dają podstawę do takowych analiz. A pisanie o sprawach religijnych kościelnych przez ludzi programowo im obcych przypomina sytuację, jakby dla „obiektywizmu” pisania o muzyce wybierać do relacjonowania muzyki „fachowców” bez słuchu.

Pewną wskazówką wyjaśniającą zmianę w stosunku do Kościoła jest wypowiedź redaktora naczelnego „Gazety”, który tłumaczył, że dopóki Polska nie była niepodległa, a Kościół był prześladowany, nie podejmował jego krytyki. Teraz jest wolność, Kościół może też swobodnie działać i wypowiadać się, dlatego nie ma przeciwwskazań do podjęcia od dawna istniejących zastrzeżeń. Nie potrafię zweryfikować – bo i jak – tych wyjaśnień.

Bardziej racjonalnym tłumaczeniem wydaje się spostrzeżenie, iż obraz Kościoła w „Gazecie Wyborczej”, a zwłaszcza raptowna zmiana ocen w początkach lat dziewięćdziesiątych, płynęła z obawy o wpływ Kościoła na rozwiązania istotnych spraw ustrojowych, politycznych, społecznych Polski. Wpływ nie poprzez instytucjonalne oddziaływanie Kościoła na organa państwa, ale przez respektowanie wartości, na których katolicyzm opiera tak indywidualną jak i społeczną postawę swoich wyznawców. W myśl podstawowej logiki i poszanowania dla rzeczywistości społecznej, przy tworzeniu organizmu państwowego po odzyskaniu wolności nie można było nie zauważać, jaki system wartości w polskim społeczeństwie sprawdził się, zwłaszcza jeżeli na serio brało się zasadę, że najpierw państwo powinno być w służbie obywatelowi, aby mogło oczekiwać, że i on będzie służył wspólnemu dobru, jakim jest państwo. Może kiedyś historia wyjaśni, czy „Gazeta Wyborcza” była w swej ewolucji antykościelnej oryginalna, czy też odzwierciedlała poglądy, a raczej fobie tego środowiska politycznego, które stworzyło wymagany straszak Polski jako państwa wyznaniowego. Jakkolwiek ze źródłem inspiracji było „Gazeta” zaangażowała się w walkę z Kościołem zdecydowanie mocniej aniżeli w zwalczanie realnych skutków i zagrożeń pozostałych po okresie komunizmu.

* * *

Gdyby tak postępowała na przykład dawna „Trybuna Ludu”, byłyby to tak normalne, że nawet nie przyszłyby pokusa zajmowania się jej tekstami. Ale tej sprawie zaczęła od pewnego momentu służyć gazeta, która miała być wyrazicielem wartości, których Polska – a jak uwidocznili wydarzenia 1989 roku i lat następnych, także Europa – bez postawy Kościoła katolickiego i jego wyznawców nie zdołałaby na powrót wprowadzić do życia społecznego.

A jaki jest obecnie styl pisania w „Gazecie Wyborczej” o Kościele, mogą się przekonać sami jej współcześni czytelnicy.

Tak, ten tekst wyrósł z zawiedzionej nadziei.